

Rewolucja i... pensjonarki

Uczennice prywatnego gimnazjum pani Zaleskiej w Mohylowie zostały zawiadomione, że po lekcjach w sali rekreacyjnej będzie do nich przemawiać pani przełożona. Działo się to późną jesienią 1917 roku.

Siedziałyśmy jak na szpilkach do końca lekcji. Nie ustawały szepty, pod ławką bez przerwy krążyła poczta. Zdenerwowani wydarzeniami nauczyciele jak gdyby nie dostrzegali naszego podniecenia. O nauce nikt poważnie nie myślał. Najwięcej mówiono o bolszewikach. Nawet dziesięcio-dwunastoletnie smarkule zamiast plotek o mamusiach, ciociach i wujkach powtarzały sobie na ucho dziwne i groźne nazwiska: Lenin, Trocki, Kiereński, Korniłow.

Sztab tak zwanej „Dzikiej Dywizji” (Kaukaskiej) generała Korniłowa i pułk Tekiński, stanowiący część samej dywizji, stacjonowały w Mohylowie — do niedawna siedzibie carskiej „Stawki”, czyli Kwatery Głównej cara. Po wybuchu lutowej rewolucji Korniłow gromadził swą „Dziką Dywizję”, żeby zdusić — jak mówiono w Mohylowie — „bolszewicką zarazę” i przywrócić monarchię. „Stawka” nadal pozostawała ośrodkiem generalskiej kontrrewolucji.

W dużej sali było rojno i głośno jak nigdy. Migwały rozgorączkowane twarze dziewcząt, granatowe mundurki z białymi kołnierzykami i czarnymi fartuszkami.

Za stołem prezydialnym ukazała się w gronie nauczycieli nasza przełożona, pani Zaleska. Wydawała się bledsza niż zwykle. Była to starsza, wysoka, zgrabna pani ze śladami nieprzeciętnej urody na ruchliwej, nerwowej twarzy.

Miała na sobie, jak zawsze, długą granatową suknię z białym żabotem.

— Drogie moje dzieci, muszę wam oznajmić smutną nowinę. Nie wiadomo, czy nie będziemy musieli przerwać nauki. Bolszewicy mają już w ręku Łupolowo*, łaża dzień należy ich się spodziewać w mieście. Rozumiecie, to są barbarzyńcy, mogą zamknąć nasze gimnazjum. Oczywiście ich panowanie nie potrwa długo, ale wy, wasza nauka mogą ucierpieć. Nasza nadzieja w Bogu. Wracajcie spokojnie do domu.

W ostatnich słowach pani Zaleskiej drżały łzy. Starsze nauczycielki co chwila podnosiły chusteczki do zapłakanych oczu, twarze młodszych wyrażały zaciekawienie, policzki im płonęły — podobnie jak nam, uczennicom.

Przed wkroczeniem bolszewików ostrzeliwano się wielokrotnie z lewego i prawego brzegu Dniepru. Wtedy szkoła była nieczynna. Razem ze skorymi do mocnych wrażeń koleżankami i bandą chłopaków dotarliśmy pewnego poranka do armat i kulomiotów przy małej rzeczulce Dubrowience**. Stąd ostrzeliwano pozycje bolszewików po przeciwległej stronie Dniepru.

Serca nam waliły jak młotem, oczy płonęły, drżeliśmy ze strachu, ale nie opuszczaliśmy swych pozycji „obserwatorów wojskowych”. Widok armaty wstrząsanej hukami, buchającej ogniem hipnotyzował nasz wzrok, przykuwał stopy do ziemi.

Dopiero gdy nad armatami przeleciał pocisk, trafił w płot, rozwalił parę drzew w ogródku, a nas siłą powietrza powaliło na ziemię — przeraziliśmy się naprawdę i czmychnęliśmy co tchu do domu. Tylko kilku chłopaków zostało na „posterunku”.

Pensjonarki pragnęły zwycięstwa bolszewików, właśnie na przekór ciotkom, wujkom, dziadkom złoścącym od rana do wieczora „barbarzyńcom”, „antychrystom”, „czernym diablom”, „przeklętym bestiom” — jak w sferach drobnomieszczańskich „tytułowano” wówczas bolszewików. Tylko niektóre dziewczynki, wsłuchane w przekleństwa swych rodziców, naprawdę wierzyły, że bolszewicy to wcielone diabły. Ale większość z nas czekała na przyjście bolszewików jak na wielką przygodę. Potrzeba roman-

* Przedmieście Mohylowa po drugiej stronie Dniepru.

** Dopływ Dniepru.

tyki, szukanie mocnych przeżyć, rozpalona wyobraźnia, młodzieńcza ciekawość — wszystko to pchało nas w „objęcia bolszewizmu”, tak ze zgrozą mówiono w rodzinie i w szkole.

Z rozkazu Tymczasowego Rządu, który miał na celu przywrócenie monarchii, carscy generałowie, przywódcy stłumionego w sierpniu buntu kontrewolucyjnego, zostali na niby uwięzieni pod Mohylowem (w miasteczku Bychów), faktycznie jednak za kratami knuli nowe spiski pod skrzydłem Kwatery Głównej. W przeddzień zajęcia „Stawki” przez bolszewików generałowie zbiegli z więzienia. Byli wśród nich Kornilow, Denikin, Łukomski. Ucieczce generałów patronował generał Duchonin — szef „Stawki”, który pragnął przekształcić Kwaterę Główną w zapórę przeciwko bolszewizmowi.

Zbiegli generałowie przekradli się nad Don i stali się inspiratorami wojny domowej, walcząc zbrojnie przeciwko władzy radzieckiej.

Może dlatego, że w 1917 roku Kwatera Główna była obok ognisk rewolucji wylęgarnią hersztów kontrewolucji — Mohylów stał się istną prochownią: przyjaciele stawali się wrogami, dzieci zbuntowane przeciwko rodzicom.

Gdy pensjonarki wydoroślały, zróżnicowały się ich losy. W okresie wojny domowej niejedna z moich koleżanek wróciła na łono drobnomieszczańskiej rodziny, znalazła się po tamtej stronie barykady. Jesienią zaś 1917 roku z przyśpieszonym biciem serca czekały na przyjście „antychrystów”.

W pochmurny, zimny listopadowy dzień oddziały marynarzy Floty Bałtyckiej wkroczyły do Mohylowa. W czarnych mundurach, z taśmą naboju przez ramię, z czerwoną kokardą na piersi „bratizski” — tak ich nazywano — wyglądali groźnie, zawadiacko i wesoło.

„20 listopada z rana — czytamy w «Dziejach wojny domowej w ZSRR» — oddział marynarzy wkroczył do Kwatery Głównej. W kudłatych czapach, czarnych szynelach, z karabinami na ramionach miarowym krokiem maszerowali marynarze po opustoszałych ulicach miasta”*.

Prerażeni handlarze pozamykali sklepiki, pospuszczali żaluzje na wystawach sklepowych i w oknach domów.

* „Dzieje wojny domowej w ZSRR”, t. II, str. 526, Wydawnictwo Literatury w Językach Obcych, Moskwa 1947.

Kołtuny różnego autoramentu ze strachu pochowali się w swych mieszkaniach. Na ulicach nie widać było dorosłych. Oddziały czerwonej floty witane były przez tłumy chłopaków, wśród których zauważyć można było gdzieś sylwetki robotników, pensjonarki i szczekające psy. W krzyczący radośnie tłum dzieciarni marynarze garściami rzucali małe, czerwone kokardki i po żołniersku z uśmiechem salutowali, co wprawiało w zachwyt chłopaków. Z maszerujących szeregów rozległ się zgodny, mocny śpiew „Marsylianki”. Zawtórowały mu dziecięce głosy. Zza firanek wyjrzały przestraszone twarze kobiet. Za znikającym na zakręcie centralnej ulicy, Bolszaj Sadowaj, wojskiem ciągnął się długim ogonem na gorąco sformowany „oddział” chłopaków w wieku od siedmiu do piętnastu lat; szybko dreptali, by dotrzymać kroku marynarzom. Zaczęła się „wielka przygoda”.

W parę dni później szłam z koleżanką po Bolszaj Sadowaj. Naprzeciwko nas wolnym krokiem posuwał się barczysty marynarz, z olbrzymią czerwoną kokardą. Szedł wymachując rękami i głośno śpiewając „Warszawiankę”, płoszył wystraszonych przechodniów. Widocznie jedynie w naszym wzroku dojrzał sympatię i podziw, gdyż stanął, wziął nas za podbródki i wesoło zagadnął:

— No cóż, córki, myślicie pewnie, że jestem pijany i dlatego ryczę na całą ulicę. A wcale nie. Dawno wytrzymałem po wczorajszej zabawie. Śpiewam, bo mi się tak podoba, bo jestem żołnierzem światowej rewolucji. Czy wy rozumiecie, smarkule, co to znaczy? Ja Waśka Gnat, co to mniej znaczy niż robak — był niczym, teraz pójdę zdobywać cały świat dla międzynarodowego proletariatu. Od tej myśli dech zapiera i muszę śpiewać, bo coś samo gra we mnie na złość wszystkim burżujom i pozostałemu ścierwu. Teraz dopiero zaczyna się prawdziwe życie i dla mnie, i dla was, dziewczuszki. Bądźcie mi zdrowe, miłe mordeczki, i zapamiętajcie słowa Waśki Gnata.

Zapamiętałam.

Młodzież urzekała jaskrawe postacie setek Wasiek w marynarce, w oddziałach ochotniczych, w urzędach, gdzie rozpoczynali pracę słabo piśmienni Waśki i Waniutki (początkowo był prawie powszechny sabotaż inteligencji). „Bratiszki” dokonywali bohaterskich czynów, dawali dowody zadziwiającej przytomności ducha i sprytu

w walce z kontrrewolucją, podobnie jak niezapomniany typowy „bratiszka” Szwandzia ze sztuki Treniewa „Lubow Jarowaja”.

Burzono ustalone hierarchie służbowe, konwencje towarzyskie, obyczajowe. Szalona odwaga i płomienna wiara ludu odzianego w liche marynarskie lub żołnierskie szynele, duma, że właśnie oni, małuczcy i poniżeni, „ruszają z posad bryłę świata” — wytwarzała atmosferę promieniowania rewolucyjnością, porywającą młodzież. Wańki, Piet’ki i Waśki, obudzeni do życia przez rosyjską burzę rewolucyjną, nabrali rozpędu na światową rewolucję. Zwykle ludzie stawali się wielkimi, „zjadacze chleba” — bohaterami nieświadomymi swego bohaterstwa. Wszystko, co robili, kłóciło się w oczach kołtunów z ustalonym porządkiem rzeczy. Co dzień przepowiadano bolszewikom rychły koniec: tydzień, dwa — najwyżej miesiąc. Na rynku, na ulicy, w sklepie, w domu słyszało się do znudzenia powtarzaną sentencję:

— Cham zawsze pozostanie chamem, a im się rządów zachciało. Niedoczekanie wasze! Ludzie bez wykształcenia nie potrafią rządzić. Wróci praworządna władza (tak nazywano Rząd Tymczasowy, obalony przez bolszewików) i nauczy tych chamów, brutalni należnego moresu — tak gadali między sobą panowie przy bilardzie oraz sklepikarzowe, żony adwokatów i lekarzy przy herbatce.

Opowiadano w kółko z oburzeniem te same historyjki, jak „brutale” marynarze zrywali naszywki oficerom carskiej armii, jak komisarze zwracali się per ty do wyższych urzędników.

Natomiast w oczach mohylowskich pensjonarek przyskał czar bezsilnych, pełnych żółci oficerów, studentów, gimnazjalistów — będących do niedawna ozdobą prowincjonalnego „beau monde’u”. O zgrozo! Coraz bardziej zaczęły przypadać do gustu prowincjonalnym dziewczętom „te chamy, brutale” — bolszewicy. Niejedną mamę ogarniało przerażenie: ich córki podlotki romansowały z marynarzami. Gdy jedna z wychowanek gimnazjum pani Zaleskiej, siedemnastoletnia Sonia, córka lekarza, oświadczyła, że wychodzi za mąż za bolszewika-marynarza, potraktowano to jako groźny skandal w rodzinie i w gimnazjum. W domu zrobiło się piekło, mama Soni dostawała ataków

serca; dziewczyna wyprowadziła się z domu i zamieszkała kątem wraz ze swym wybrańcem.

W cerkwiach i kościołach odbywały się nabożeństwa przywołujące gniew boży na zakalę rodzaju ludzkiego, czyli bolszewików. Wszystkie siły starego świata modliły się co dzień, by wreszcie diabli wzięli władzę radziecką.

Pensjonarki zaś buntowały się — odmawiały pójścia do spowiedzi i chętnie wymykały się z domu na zabawy i tańce organizowane przez nową władzę dla młodzieży. Polska młodzież, wywodząca się z zaściankowej szlachty, dość długo tkwiła też w zaścianku duchowym. W Mohylowie i w okolicach było nie tylko sporo skołtuniałej polskiej drobnej szlachty, lecz i grubszych ryb — właścicieli dużych folwarków na Białorusi. Na panów dziedziców padł błąd strach przed gniewem chłopskim, toteż wiali masowo do miasta, wyczekując tu końca bolszewii. W domach polskiej kołtunerii i obszarników panowała atmosfera zacieklej nienawiści do nowej władzy. Podgrzewał ją strach przed bezbożnością komunistów. Polskie drobnomieszczaństwo na Białorusi identyfikowało polskość z katolicyzmem. Na pytanie, jakiej są narodowości, odpowiadali, że są katolikami. Dzieci uczono czytać po polsku jedynie po to, by mogły modlić się z książki do nabożeństwa.

Po mieście krążyły coraz bardziej fantastyczne pogłoski o zamierzeniach nowej władzy: o zamknięciu cerkwi i kościołów, o wspólnych żonach i o powszechnym nudyzmie. Drobnomieszczańskie środowisko polskie jak gąbka chłonęło te plotki, drżąc o swą wiarę i cnotę córek. Jeśli niejedna z nich zbuntowała się przeciwko nadmiernej kurateli skołtuniałych rodziców, to zawdzięcza to rewolucji.

Marynarze, komisarze, nie znający strachu bolszewicy byli ucieleśnieniem nowej władzy. Urzekali młodzież niewyczerpaną fantazją, żarem reformatorów i proroków nowego ładu, naiwną, ale gorącą wiarą w rychłe zwycięstwo światowego komunizmu, wizjonerstwem pięknego jutra. W imię tego jutra zdolni byli do największych ofiar i nadludzkiej wytrzymałości, do znoszenia głodu, chłodu i pracy bez wytchnienia. Banalna prawda, że wiara czyni cuda, nabrała krwi i ciała. Poniżeni i pokrzywdzeni żyli wiarą, że wyzwala ją cały świat. Dlatego potrafili zrzucić jarzmo

własnej niewoli. Byli u kresu sił, ale walczyli — wierzyli, że komunizm niebawem stanie się rogiem obfitości.

Symbolem bolszewizmu — pokonującego największe trudności — byli komisarze. Na dźwięk tego słowa grymas nienawiści wykrzywał twarze jednych, zapalał ogień nadziei w oczach innych.

Ci komisarze — lichy odziani, chudzi, o płomiennym wzroku — dotarli w końcu i do serc polskiej młodzieży na Białorusi.

Młoda władza wezwała polską młodzież, polską inteligencję do zakładania i prowadzenia polskich szkół dla dzieci. Na przekór bzdurnym plotkom właśnie bolszewicy wystąpili jako obrońcy i krzewiciele polskość na ziemi białoruskiej. Kościoły stały otworem — nikomu nie przeszkadzano w uprawianiu kultu.

Wbrew złośliwym szeptom, że władza radziecka już dogorywa, młodzież polska i część starszych nauczycielek zgłosiła się do GubONO*, aby pracować w polskich szkołach. Dokonano poważnego wyłomu w antyradzieckich nastrojach polskiej inteligencji. Kołtuni pozostali oczywiście „niezłomni”. Lepsza, bardziej postępową część inteligencji rozpoczęła uczciwą pracę, choć szło to z wielkimi oporami.

* Gubernialny Wydział Oświaty Ludowej.

dużą głowę, wydatny nos i dobry, zażenowany uśmiech. Wyróżniał go szczególny, wzruszający stosunek do starszych, zasłużonych towarzyszy. Ogromnie cenił ich wiedzę, doświadczenie i zazdrościł im... więzien carskich. W towarzystwie, zwłaszcza kobiet, czuł się onieśmielony. Miał w tym czasie jakieś kłopoty z narzeczoną. Na Krywonikolskim na gwałt chciano go ożenić. Ale z Władkiem to nie szło łatwo. Był nieśmiały w tych sprawach jak „krasnaja dziewczyna”. Czasami robił wrażenie dużego, wrażliwego dziecka. Na temat pecha Władka do kobiet krążyły po Krywonikolskim różne opowieści. W mojej pamięci pozostał ze swym miłym, zażenowanym uśmiechem, bardzo wrażliwy i uczuciowy.

W naszym domu poznałam nieco później Łagwę i Władysława Kochańskiego — wspomnianych już polskich komunistów wojskowych. Mieli poważne zasługi w tworzeniu oddziałów Armii Czerwonej w okresie rewolucji i wojny domowej. Łągwa został również dowódcą Zachodniej Dywizji Strzelców.

Łągwa i Kochański byli obaj sympatyczni i bardzo różni. Łągwa szczupły, wysoki, niebieskooki blondyn o subtelnej twarzy — wyglądał na uwodziciela kobiet. Kochański był bardzo wysokim brunetem o dużej twarzy i długiej szczęce. Utkwił mi w pamięci jako rycerz przyboczny Wierzy Sawicz, młodej działaczki KPP — wtedy uroczej, o delikatnej, brzoskwiniowej cerze i pięknych marzących oczach.

Władek Kochański był w Wierce długo i beznadziejnie zakochany. Zawsze razem przychodzili w odwiedziny na Krywonikolski. Wyglądał przy niej jak melancholijny Cyrano de Bergerac. Ten romans jednak się rozwił. Wiera wyszła za mąż za innego, Władek Kochański też się ożenił. Polityka nie przeszkadzała miłości.

Po latach niezapomniany dom pod numerem ósmym mi-jałam z przyspieszonym biciem serca. Pobyt w tym domu i jego mieszkańcy zaważyli na późniejszym życiu moim i moich kolegów. Na Krywonikolskim przeżyli też piękne chwile wlotu rewolucyjnego i starzy działacze partyjni. Pochowali w nim również niejedną nadzieję i złudzenie...

O „wolnej miłości”, „konserwatyzmie” Marchlewskiego i „cioci Broni”

Polonia komunistyczna w Moskwie w latach dwudziestych skupiała się wokół Marchlewskiego. Nie miało to charakteru oficjalnego. Marchlewski jak nikt ze starszych działaczy cieszył się bezgranicznym autorytetem moralnym. Miał rozległą wiedzę, doskonałe pióro publicysty i popularyzatora marksizmu, ale był lubiany przede wszystkim za swój serdeczny, prosty stosunek do towarzyszy i karność wiernego żołnierza partii.

Do bolszewizmu i leninizmu Marchlewski doszedł poprzez udział w walkach w SDKPiL, a następnie w ruchu robotniczym na Zachodzie, na lewym skrzydle niemieckiej socjaldemokracji wspólnie z Różą Luksemburg i Tyszką. Głęboka przyjaźń Marchlewskiego z Różą, ich wieloletnia współpraca pogłębiała sentyment kapepowców dla Marchlewskiego.

Marchlewski przez pewien okres zajmował się sprawami Polskiej Sekcji Kominternu. Ponadto udzielał się w Biurze Polskim przy KC RKP(b). Sekretarzem Biura był wówczas Stefan Heltman, szanowany za swą prawość, solidność i głęboką uczciwość.

Marchlewski mieszkał na Kremlu, ale na Krywonikolskim miał jak gdyby drugi dom. Wielu gościło go u siebie. Cóż to był za dom! Komuna — nie komuna, bursa — nie bursa, szkoła — nie szkoła. Wszystko przemieszało się w przedziwny sposób. Stąd życie było barwne, wesołe, chociaż... głodnawe. Typowe dla tamtych czasów. Straszliwe wyczerpanie kraju po wojnie, głód na Wołdze...

Mimo panującej idylli i rodzinnej atmosfery w domu komunistów polskich już wtedy w sporach politycznych między towarzyszami dały się zaobserwować zacietrzewienie, rodzące się sekciarstwo, które w okresie walki frakcyjnej wyrosło w groźną siłę. Ale wyjątek pod tym względem stanowił Marchlewski. Był wzorem prawdziwie demokratycznych obyczajów. Daleki od dyktatorskich zapędów, apodyktycznego tonu, zżymał się widząc zapalczywość dyskutujących towarzyszy. W praktyce dowodził, że dyscyplinę partyjną rozumie jako obowiązującą wszystkich jednakowo — woźnego i komisarza. Cechowała go wyjątkowa skromność. Bobiński żartował, że Marchlewskiemu brakowało typowo polskich cech, na przykład zarozumialstwa, niepunktualności.

Skromność i prostota Marchlewskiego wyrosły na tradycjach głęboko demokratycznych, związanych z jego życiem rewolucjonisty proletariackiego, a zarazem stanowiły nieodłączną właściwość jego charakteru.

Naturalny w obejściu, był człowiekiem wielkiej kultury.

Marchlewski miał dobroduszy, dickensowski humor. Stawał się jednak ostry jak brzytwa wobec efekciarzy, frazesowiczów i mądrali wyrokujących banały, i to z wyżyn „partyjności”. Nie lubił przeintelektualizowanych działaczek partyjnych. Powiadał wówczas ze swym ujmującym uśmiechem: „Jestem zapewne konserwatystą, wolę jednak kobiety typu Grätchen. Podoba mi się, gdy kobieta jest sobą, nie udaje mężczyzny”. W rozmowie z Bobińskim wyrażał zdziwienie:

— Dlaczego niektóre towarzyszki robią z siebie kocmołuchów, jakbyśmy byli eunuchami, a w komunizmie miała zapanować szpetota?

Gdy w towarzystwie raziła go zbyt elokwentna „intelektualistka”, do tego niechlujnie ubrana i nie uczesana, albo jakiś pięknoduch, tracił humor i śpieszył się z odejściem.

Nie słyszałam, by Marchlewski podnosił głos lub zapierał się w dyskusji. Przeciwnie, swoją obecnością i spokojem potrafił otrzeźwić rozpalone głowy. Należy pamiętać, że był to okres nieprzerwanych i burzliwych sporów. Wielu czuło się prorokami i reformatorami świata, szczególnie młodzież wszystko poddawała rewizji, nawet... prawa natury. Stara bolszewiczka Smidowicz, zabierając ongiś głos na łamach „Prawdy” w sprawie młodzieży, pisała, że do

kliniki położniczej w Moskwie zgłosiło się kiedyś dwóch młodzieńców z oświadczeniem całkiem na serio, że obaj są ojcami dziecka, które przed godziną urodziła pewna komsomołka.

W latach dwudziestych ukazał się tomik opowiadań Aleksandry Kołłątaj pod wymownym tytułem: „Miłość pszczoł pracowitych” („Lubow pczół trudowych”). Książka Kołłątaj stała się przysłowiowym kijem w mrowisku, wywołała wrzenie szczególnie w środowisku młodzieży radzieckiej. Dyskutowano z pianą na ustach wszędzie — w domu, w tramwaju, w parku, na ulicy.

Były to opowiadania o miłości młodzieży radzieckiej, artystycznie słabo napisane. Autorka załatwiała się bez troski z rodziną, z wiernością małżeńską, z hipokryzją i pseudomoralnością burżuazyjną. Przez wszystkie opowiadania czerwoną nicią przewija się myśl o potrzebie wolnej miłości, którą młodzież radziecka powołana jest zbudować na grobie zakłamanej burżuazyjnej rodziny. Kołłątaj apelowała w pierwszym rzędzie do komsomolców i komunistów o szczerość stosunków erotycznych. Skoro młodzi kochają się, czują do siebie pociąg, należy dać temu ujście, zgodnie z naturą ludzką. Skoro uczucie prysnęło — należy się rozchodzić. A jak z dziećmi? W razie potrzeby dziećmi zajmie się państwo socjalistyczne.

Klara Zetkin we wspomnieniach o Leninie odtwarza swoją rozmowę z nim o wolnej miłości. W wypowiedzi Lenina zawarta była ukryta, ale ostra polemika z Kołłątaj w tej sprawie, choć wiadomo było, że osobiście Lenin lubił ją i cenił.

Marchlewski również ironizował i podrywał z „rewolucyjnych” teorii Kołłątaj o wolnej miłości. W takich wypadkach mówił o sobie, chytrze uśmiechając się, że jest konserwatystą.

Marchlewskiego porywała rewolucja jak każdego komunistę, ale nie każdą teorię czy pogląd, które wówczas powstawały, mianując się „irrewolucyjnymi”, przyjmował bezkrytycznie. Wyśmiewał się również z „proletkultowców”, przekreślających całą dotychczasową kulturę w imię, jak pisali, „komunistycznego jutra”.

Marchlewski zwalczając kapitalizm umiał cenić zarówno piękno katedr gotyckich i wszelkiej prawdziwej sztuki, jak i dorobek cywilizacji. Był rewolucjonistą między innymi

i dlatego, że gorąco pragnął, by ludzka potrzeba piękna rozkwitała nie skrepowana systemem kapitalizmu.

„Ludzkość — pisał Marchlewski — nigdy nie przestanie dążyć do piękna, dążenie to jest bowiem jednym z najszlachetniejszych skarbów ludzkiego ducha. I ludzkość utoruje sobie drogę do piękna; jak wiele innych celów, tak i ten można będzie osiągnąć dopiero wtedy, gdy państwo kapitalistyczne rozpadnie się w gruzy” *.

Gdy się czyta artykuły Marchlewskiego o sztuce, można odnaleźć w nich pokrewne z Leninem poglądy i myśli: o humanistycznym powołaniu sztuki i literatury, o ich wyzwoleniu z pęt zależności materialnej przez zwycięstwo socjalizmu.

Marchlewski, jak wiadomo mi z relacji Bobińskiego, miał nie tylko uznanie dla geniuszu politycznego Lenina, ale i głęboki sentyment dla niego.

Dzierżyński był powszechnie znany w Związku Radzieckim: postrach dla wrogów rewolucji, bohater w oczach jej gorących zwolenników, postać niemal legendarna. Toteż polscy komuniści byli z Dzierżyńskiego ogromnie dumni, choć z czasem mniej się z nim kontaktowali. Dzierżyńskiego pochłaniała bez reszty ogromna działalność państwowa. Wiadomo mi od Bobińskiego, że Lenin darzył Dzierżyńskiego szczególnym, ojcowskim niemal sentymentem i bezgranicznym zaufaniem.

Marchlewski i Dzierżyński obaj wywodzili się z tej samej partii, nie różnili się ani światopoglądowo, ani programowo. Były to jednak bardzo różne indywidualności. W Dzierżyńskim przeważał praktyk rewolucji na miarę komunistycznego Prometeusza, w Marchlewskim — teoretyk, publicysta, doskonały propagandzista i wychowawca młodzieży.

Przy pierwszym bliższym zetknięciu się z wybitnymi działaczami KPP przeżyłam jako wzruszające odkrycie głęboką polskość tych ludzi, a przede wszystkim Marchlewskiego. Nie znałam innego polskiego inteligenta poza Marchlewskim, który by tak doskonale znał życie polskiego ludu. Wiadomo, że był zamiłowanym taternikiem. Czasami, gdy w gronie towarzyszy lub rodziny zanucił ktoś kujawiaka lub zbójnickiego, Marchlewskiemu ze wzruszenia

* Julian Marchlewski — „O sztuce”, „Czytelnik” 1957 r., str. 236.

stawały w oczach łzy. Przeżywał ostro chwile nostalgii za krajem.

Praca w fabryce w charakterze prostego robotnika i wędrówki po kraju pozostawiły na nim niezatarty ślad. Chwilami miałam wrażenie, że Marchlewski ze swoim głębokim poszanowaniem i zrozumieniem ludu, umiłowaniem pracy fizycznej ma w sobie coś z Tołstoja. Wynikało to również z tego, że więź z klasą robotniczą, z ludźmi ciężkiej pracy była dla rewolucjonistów typu Marchlewskiego chlebem powszednim, a nie „od parady”. Myślę, że na „ludowym” obliczu Marchlewskiego zaważyły i jego osobiste cechy charakteru, jego świadome pragnienie wejścia w życie ludu, wysoka kultura demokratyczna.

W ciągu kilku lat z przerwami — gdy wyjeżdżał z misją dyplomatyczną do Finlandii, a później do Japonii i Chin — często spotykałam Marchlewskiego w gronie rodzinnym, w mieszkaniu Bobińskiego i Marchlewskiego, na wieczorach towarzyskich w domu na Krywonikolskim. Później, gdy był rektorem Komunistycznego Uniwersytetu Narodów Zachodu (w skrócie KUNZ), stykałam się z nim w pracy, słuchałam jego wykładów, uczestniczyłam w naradach, którym on przewodniczył.

Jak już wspomniałam, sympatię do Marchlewskiego budził jego niezapomniany uśmiech, przymrużone oczy o dobroduszo-ironicznym wyrazie. Marchlewski należał do ludzi umiejących słuchać innych. Sam był raczej mało-mówny.

Kiedys wieczorem u Bobińskiego zebrało się kilku towarzyszy. Był też Marchlewski, Stach Budzyński ze swoją pierwszą żoną Regą i pewien młody, wysoki człowiek, przyjezdny z Paryża, którego sprowadziła Rega Budzyńska. Snobizowała się ona znajomością wybitnych i wpływających na powierzchnię osobistości i nie omijała sposobności sprowadzania na Krywonikolski każdego z poznanych rzadkich „okazów”. Mieszkaliśmy na jednym korytarzu z Budzyńskimi, Heltmanami, Budkiewiczami, czyli w tzw. „komunalnej kwartale”.

Gość Regi (nie pamiętam jego nazwiska) opowiadał głośno, żywo gestykułując, przeplatając polskie zdania z francuskimi, sensacje polityczne z życia Francji. Słuchałam go jak zaczarowana. Zerknęłam jednym okiem w stronę Marchlewskiego. Siedział trzymając swoim zwy-

czajem ręce splecione na kolanach. Ale z ich nerwowego ruchu i z coraz bardziej kłującego ironicznego blasku jego oczu zrozumiałam, że nowa „znakomitość” Regi nie przypada mu do gustu. Po chwili przerwał elokwentnemu „Francuzowi” zadając mu ironiczne pytanie swoim nieco przytłumionym głosem. Gość przygasał i niedługo zabawił. Wyszedł razem z Regą. Po ich odejściu Marchlewski powiedział:

— Pióło banialuki, ale efektownie. Taki potrafi zawrócić w głowie młodzieży. — Mówiąc to, wymownie spojrzał w moją stronę, a ja spiekłam raczka. Nie darzył sympatią i Regi Budzyńskiej. Mówił o niej: — Nie lubię przemądrzałych niewiast. — W towarzystwie był po polsku szarmancki w stosunku do kobiet, nie wyłączając tych, których nie lubił.

Nie obawiam się posądzenia o banał, gdy powiem, że Marchlewski wyróżniał się prawdziwą dobrocią. Nie można o tym przemilczeć wspominając Marchlewskiego, choć był po męsku dyskretny w wyrażaniu swych uczuć.

— O ukochanej kobiecie i rewolucji nie należy mówić z wykrzyknikami. Prawdziwa miłość stroni od pompy — żartował, kryjąc uśmiech pod wąsem.

Marchlewskiego raziła brutalność w ludziach. Pamiętam przykrą scenę w jego gabinecie w KUNZ-ie. Było to zebranie z polską grupą. Jeden z kursantów w sposób nastawiony zaatakował drugiego. Marchlewski zżymał się z niesmaku, ale mimo to spytał jak zawsze spokojnie: — Czy uważacie, towarzyszu, że życzliwość w stosunkach między komunistami należy do przesądów burżuazyjnych?

Należał do wyznawców racjonalizmu marksistowskiego. Posługiwał się argumentami, logiką, faktami, a nie „przygwałdział” przeciwnika niewybrednymi epitetami i wyzwiskami.

Jako rektor KUNZ-u Marchlewski nie miał łatwego życia. Nie wszystko odbywało się w tej komunistycznej „wieży Babel” po jego myśli. Wśród słuchaczy przeważali robotnicy. Ale wyrobienie polityczne, kultura, wiedza ogólna były nieraz biegunowo różne wśród odmiennych grup narodowościowych. Mówiono językami Zachodu, ale pstrokaczna poziomów i mentalności była zaiste wschodnia. Wśród profesorów zaczęły dawać się we znaki początki zdogmatyzowanego myślenia, czemu się przeciwstawiał,

niestety bez większego efektu, Marchlewski. Wykładając w różnych grupach narodowościowych, niektórzy profesorowie nie interesowali się odrębnością psychiki, potrzeb intelektualnych swych słuchaczy, karmiąc ich sztaampą i sloganami.

Zastępcą Marchlewskiego w KUNZ-ie była Estera Frumkinowa (w przeszłości wybitna działaczka BUND-u), kobieta utalentowana, o dużym temperamencie politycznym, płomienna mówczyni, działaczka o niepospolitej energii. W pracy jednak nie stanowili z Marchlewskim zgranej pary. Frumkinową rozsądzał temperament, w głowie jej roilo się od pomysłów. KUNZ był dla niej polem doświadczalnym dla stałego eksperymentowania i reformowania uczelni od góry do dołu. Lubiła „ruch w interesie”: uroczyste akademie „ku czci”, przemówienia efektowne i nie pozbawione demagogii. Dobrze się czuła w atmosferze „permanentnej rewolucji”. Toteż dokładała starań, by i KUNZ żył w gorączkowej atmosferze nieustających zmian. Natomiast Marchlewski uważał, że nauka wymaga skupienia i spokoju. Z usposobienia i z metod pracy byli jak dwa bieguny. W ścieraniu się owych dwóch prądów Marchlewski „przegrywał”. Nie nadawał się „do wojny z babami”, jak żartobliwie mówił o sobie, a tym bardziej z tak bojową osobą jak Frumkinowa. Na zebraniach i akademiach w KUNZ-ie, gdy byli obecni oboje, Marchlewski zazwyczaj pozostawał w cieniu, Frumkinowa zaś wypełniała sobą prezydium — pełno jej było wszędzie. Witła gości, przemawiała, organizowała zabawy i sama doskonale, z młodzieńczą werwą, choć była starszą osobą, bawiła się ze studentami. Miała dużo serca dla swych wychowanków i nie znała wytchnienia w pracy. Po śmierci Marchlewskiego została rektorem KUNZ-u.

Marchlewski prowadził na KUNZ-ie wykłady z ekonomii politycznej, a dla polskiej grupy ponadto i z historii Polski. Słuchacze mówili o nim:

— Marchlewski jest bardzo uczony, to widać, ale gdy wyklada, nie czujemy się przygnębieni naszą niewiedzą, jak wobec innych profesorów. Gdy starego chłopca sadzają na ławę szkolną, nie chce się czuć marnym robakiem. Marchlewski ma to do siebie, że z nim się czujemy jak równi z równym, choć wiemy, że nas przerasta.

Słyszałam, jak pewien Bułgar mówił o Marchlewskim:

— Lubię naszego starego, bo mi przypomina mego dziadka na wsi. Co prawda dziadek mój był niepiśmienny, ale rozumny chłop i znał ludzi na wylot. Nie rzucał słów na wiatr, jak i Marchlewski, każde słowo u niego coś znaczy. Lubię słuchać starego. To człowiek bez lipy, można mu zaufać.

Pewien wypadek, który miał miejsce w KUNZ-ie charakteryzuje sylwetkę Marchlewskiego, jak również znamienny jest dla obyczajów owej uczelni.

Zdarzało się, że nie skończywszy nauki młodzi pobierali się. Wyłaniał się wówczas trudny problem mieszkania, gdyż w bursie dziewczyny i chłopcy sypiali po kilka osób w pokoju. Pary małżeńskie znajdowały „schronienie” najczęściej w pokoju żony. Zdarzało się też, że młoda żona dzieliła łóżko z mężem w pokoju, gdzie spało jeszcze pięciu chłopów. Kiedyś w podobnym przypadku współlokatorzy męża zbuntowali się i prosili Marchlewskiego, by wyprowadził z ich pokoju nowo upieczone małżeństwo. „Oskarżona” para broniła swego nocnego „lebensraumu” za pomocą modnej wówczas demagogii o drobnomieszczańskich przesądach tych, którzy chcieli się ich pozbyć. Marchlewski wysłuchał uważnie obu stron i ponoć powiedział:

— Jakie tam przesady, towarzysze, po prostu chłopcy nie są z drewna...

Wspomnienia o Marchlewskim łączą się z obrazem jego żony Bronisławy, powszechnie nazywanej wśród komunistów „ciocią Bronią”. Mała, gruba, bardzo ruchliwa, gadatliwa, skora do śmiechu, o żywych oczach i żywej gestykulacji — była ciocia Bronia z usposobienia przeciwnieństwem swego męża: duchem niespokojnym. Marchlewska była również bardzo uczynna. Pomagała w różnych sprawach wielu towarzyszom polskim, przyjeżdżającym z kraju, często wprost z więzienia. Załatwiać cudze sprawy, pomagać — to był jej żywioł. Należała do ludzi dużego formatu, o wielostronnych zainteresowaniach: interesowała się polityką, matematyką, muzyką, biologią. Studiowała bakteriologię, była autorem paru broszur z dziedziny przyrodoznawstwa, autorem słownika polsko-rosyjskiego. W swej komórce partyjnej wyróżniała się aktyw-

nością. Ciocia Bronia utkwiała w mej pamięci jako zawsze ruchliwa, ogromnie ciekawa świata i ludzi, o młodym, żywym umyśle. W uszach mi dźwięczy jej srebrzysty, młodzieńczy śmiech.

W Warszawie, w 1949 r., gdy obchodzono stulecie śmierci Szopena, otrzymałam od przeszło osiemdziesięcioletniej Marchlewskiej list pisany z humorem. Żywo interesowała się krajem. Prosiła mnie też o przysłanie jej monografii i ciekawych materiałów o Szopenie wydanych w Polsce.

Ciocia Bronia miała również swoje ludzkie słabości. Była czasami zabawnie niespokojna o sławę swego męża. Jej zabiegi o hołdy dla niego dziwnie kontrastowały z wyjątkową skromnością Marchlewskiego. Potrafiła w towarzystwie wybuchnąć zgłą nieoczekiwanie. Odbijało się to głośnym echem na Krywonikolskim w postaci dobroduszyńskich opowiadanych anegdot. Takt nie był najsilniejszą stroną cioci Broni. Ale jej faux pas też miały swój styl i wdzięk. Była jak najbardziej żywym człowiekiem, niepospolitą indywidualnością i nic nie miała w sobie z posągowości pseudopozytywnego bohatera. Jej zachłanną uczynność, bezgraniczną miłość dla Marchlewskiego wspominam ze szczególnym wzruszeniem. Niespożyta energia cioci Broni w niemałym stopniu sprzyjała temu, że po śmierci Marchlewskiego ukazywały się dość regularnie jego dzieła wybrane w języku polskim i rosyjskim.

Dla Bronisławy Marchlewskiej mam osobisty głęboki sentyment i niespłacony dług wdzięczności. Miała dużo serca i dużo zrobiła dla mnie i dla mojej rodziny w trudnych sytuacjach życiowych. Podczas ciężkiej choroby męża z macierzyńską troskliwością opiekowała się mną i moim małym synkiem. Gdy pewnego letniego wieczoru 1937 r. mnie i mego męża pozbawiono wolności — Bronisława Marchlewska należała do nielicznych polskich komunistek na wolności mających odwagę pomagać ofiarom zbrodniczej prowokacji. Mimo że stroniono od rodzin aresztowanych, ciocia Bronia podtrzymywała stosunki z moją rodziną, wspierała na duchu, pomagała materialnie. Zresztą pomagała rodzinom wielu polskich komunistów w tej tragicznej sytuacji.

Gdy w styczniu 1945 r. zostałam zwolniona z Celiną Budzyńską z obozu pod Archangielskiem, pierwsza nasza wi-

zyta w Moskwie była u cioci Broni w domu na ul. Serafimowicza 2. Podejmowała nas jak dobra wróżka z bajki.

— Wykąpcie się porządnie, dzieci. Przygotowałam też dla was coś z odzieży — mówiła do nas po matczynemu, żalonym wzrokiem zerkając na nasze ohydne obozowe szmaty. Uraczyła nas jak na ciężkie wojenne czasy wspólną kolacją. Miała łzy w oczach, ale nadrabiając wesołą miną, próbowała jak gdyby zetrzeć z nas ślady ponurych lat wyrwanych z życia...

O przyjaźni i sprawach ludzkich

W rodzinie Bobińskiego Marchlewski był osobą najbardziej lubianą i szanowaną. Nie wiem, czy trafnie potrafię ocenić przyjaźń między Marchlewskim i Bobińskim; był to stosunek nienaganny i wzruszający, ale zarazem nierówny. Bobiński miał głębokie uznanie dla moralnych, partyjnych i naukowych walorów Marchlewskiego, dla jego szlachetnej sylwetki. Ale w tym stosunku było coś z wdzięcznego ucznia do swego nauczyciela.

Bywają trudno uchwytnie, wymykające się słowom stosunki międzyludzkie. W mej pamięci promiennym pasmem przewija się wspomnienie o pięknym, pełnym zaufania stosunku polskich towarzyszy do Marchlewskiego i odwrotnie. Marchlewski potrafił wynagrodzić towarzyszom ich zaufanie do siebie. Pamiętam, że w obecności Marchlewskiego Bobiński odmieniał się, pozbywał złego humoru, był dowcipny i pogodny.

Czy nie nazbyt różowo oceniam przeszłość, charakter, przyjaźnię?

Odpowiedź na to jest trudna. Nasze spojrzenie na sprawy, na ludzi żywo nas obchodzących z odległości czasu są subiektywne i jednostronne. Należy pamiętać jednak, że w okresach młodości rewolucyjnej nie tylko ludzie tworzą sytuacje, ale atmosfera rewolucyjna w nie mniejszym stopniu kształtuje charakter, wpływa na współzycie ludzi. Toteż trudno mi bez wzruszenia wspominać piękny wzajemny stosunek Bobińskiego i Marchlewskiego, jak też i wielu innych komunistów.

Nie znaczy to, że ludzie ci nie mieli przywar, i to nie raz przykrych w pożyciu rodzinnym. Ale na ogół w stosunkach z towarzyszami, w partii, w udzielaniu się na ze-

KUNZ – czyli komunistyczna wieża Babel

Wśród „kunzowców” — studentów Komunistycznego Uniwersytetu Narodów Zachodu — byli też Polacy-kapowcy. Im poświęcam garść wspomnień.

Wielu z nich już nie żyje po ciężkich przejściach w więzieniach sanacyjnych, w Berezie Kartuskiej. Wielu zginęło w walce z okupantem i w innych okolicznościach. „Ostatni z Mohikanów” są w szeregach PZPR, pracują rozsiani w różnych zakątkach naszego kraju.

Komunistyczny Uniwersytet Narodów Zachodu powstał w 1922 r. w Moskwie. Jego założycielem i pierwszym rektorem był Julian Marchlewski. Pracowałam w KUNZ-ie w polskim sektorze przeszło rok, od chwili jego założenia. Znam więc jego młodzieńczo-romantyczny okres. Może dlatego zachowałam tkliwe wspomnienia o ludziach i o atmosferze, jaka tam panowała. Myślę, że dużo zdziałał — jeśli chodzi o atmosferę — osobisty urok, serdeczny, ojcowski stosunek Marchlewskiego do setek swoich wychowanków różnych narodowości.

Towarzysze przyjeżdżali do Moskwy jak do Mekki rewolucyjnej — głęboko wzruszeni tym, że oddychają powietrzem rewolucji, że żyją w stolicy światowej rewolucji, że rozmawiają z uczestnikami Wielkiego Października.

Ten nastrój rewolucyjno-podniosły był powszechny wśród słuchaczy polskiego sektoru i znamienny dla całego KUNZ-u. U Polaków występowało to może w sposób bardziej jaskrawy i emocjonalny. Wpłynęło na to i ściśle powiązanie z rosyjskim ruchem rewolucyjnym, i polski tem-

perament, i duma, że wybitni Polacy, jak Dzierżyński, Marchlewski, wyróżnili się w rosyjskiej rewolucji, dołożyli własną cegiełkę do budowy wymarzonego lepszego życia.

Był to początek NEP-u, okres trudnej próby dla młodej Republiki Radzieckiej. Zawiodły oczekiwania na szybki wybuch światowej rewolucji; wizja komunizmu odsuwała się na dalszy plan. Młodzież zniecierpliwiona, rozgorączkowana, mniej zahartowani partyjniacy przeżywali trudny kryzys.

Komuniści z innych krajów, przyjeżdżający do Moskwy, chciwie chłonili żywe tradycje rewolucyjnej walki z 1917 r. i wojny domowej. Dla nich NEP jeszcze się nie zaczął. Psychologicznie było to zrozumiałe. Przez kontrast ze znienawidzonym kapitalizmem i w zgodzie z własnymi marzeniami i tęsknotami wielu komunistów z Zachodu dostrzegało w Związku Radzieckim głównie to, co odpowiadało ich wyidealizowanym wyobrażeniom o pierwszym kraju socjalizmu.

Złe niejednokrotnie bywało z tymi towarzyszami, przyjeżdżającymi z zagranicy — zwłaszcza z młodzieżą komunistyczną — którzy w sposób schematycznie wyidealizowany wyobrażali sobie życie w Związku Radzieckim. Młodzieńcy ci rozumowali „zgodnie z marksizmem”, że skoro zostały upaństwowione środki produkcji, a baza przecież jest czynnikiem decydującym, to reszta zmian idzie jak po masle, czyli Związek Radziecki zaludniają coraz bardziej socjalistyczne anioły. Zetknięcie się z rzeczywistością radziecką burzyło ów wymaginowany obraz. Wówczas występowała nieraz chorobliwa reakcja: niewiary, wątplenia, załamania się politycznego. Zjawisko to miało miejsce głównie w latach dwudziestych — rzadziej już w trzydziestych. Niektórzy z zawiedzionych padali w objęcia trockizmu, inni w ogóle odchodzili od ruchu. Byli też tacy, którzy zaczęli pić i po prostu wykołajali się. Część zaś, po przejściu kryzysu owej młodzieńczej choroby „wyidealizowanego komunizmu”, pozostawała w szeregach partii, ale stojąc już mocno na ziemi.

Pewien młody komunista Norweg powiedział mi kiedyś:

— Myślałem, że w Związku Radzieckim zniknęła zazdrość, bo to przecież przesąd burżuazyjny, przeżytek sta-

rego świata w świadomości ludzkiej. A widzę, że jest inaczej. Ludzie kochają się, cierpią, nienawidzą, są zazdrośni. A po marksistowsku rzecz oceniając, tego nie powinno być. Więc kto jest winien — Marks? Czy też życie toczy się inaczej, niż to przewidziane jest w książkach, inaczej, niż sądzą najwięksi geniusze?

Norweg nieświadomie dotknął bolesnej i trudnej sprawy naszych czasów: stosunku idei do rzeczywistości, marzeń do życia. To oczywiście nie tylko problem współczesności. Można go zaliczyć do problemów odwiecznych. Zawsze ludzie krwawili sobie łby konfrontując życie z ideałami, słowa z czynami. Rewolucja Październikowa zapoczątkowała najbardziej masowy „eksperyment” społeczny, realizujący odwieczne marzenia ludzkie. Przymierzanie faktów do teorii nabierało cech niemal mistycznych w zapalonych głowach inteligenckiej młodzieży. Niezaprzeczalna doskonałość ustroju musiała automatycznie rodzić doskonałość stosunków ludzkich, doskonałe instytucje, a nade wszystko doskonałych ludzi — tak rozumowało wielu młodych, w gorącej wodzie kąpanych komunistów.

Istniała jednak różnica między młodzieżą radziecką, przeżywającą trudną ewolucję, a młodzieżą komunistyczną innych krajów, przyjeżdżającą do Moskwy. Gdy w końcu 1921 r. wprowadzono NEP (Nową Ekonomiczną Politykę), występowało załamywanie się części młodzieży radzieckiej powracającej z frontów wojny domowej. Wynędniali, w wyrudziały szynelach komsomolcy z wściekłością patrzyli na bogate wystawy sklepowe nowej burżuazji, tzw. nepmanów, powstające w Moskwie w owym okresie jak grzyby po deszczu. Wtedy właśnie wśród owej młodzieży zrodziło się bolesne pytanie: „Za szto krow proliwali?”

Kiedys idąc Arbatem widziałam, jak niepewnie stojący na nogach młodzieniec w podartych butach i w szynelu kamieniem rozbił szybę w sklepie z konfekcją, z kokieteryjnie wystawioną damską jedwabną bielizną. Milicja szybko dała sobie radę z młodym buntownikiem. Ale słyszałam wśród tłumu, który natychmiast się zebrał pod sklepem, głosy aprobaty dla „odważnego” młodziana.

„Głodowaliśmy podczas rewolucji, głodowaliśmy podczas wojny domowej, a teraz ci krwiopijcy nepmani będą dalej porastać tuszczem, my zaś mamy dalej głodować, gdzież tu sprawiedliwość?”

Rozgoryczenie spowodowane NEP-em i wśród części partyjniaków, i wśród komsomolców, i wśród robotników było jednak chwilowe, nie wywołało głębszych wstrząsów. Niemalą rolę odegrała tu wychowawcza, wyjaśniająca rola partii, a także olbrzymi autorytet i zaufanie do Lenina. Rozumowano powszechnie, że skoro Lenin wprowadził NEP — to nie powinno to być w skutkach złe dla robotników, dla sprawy komunizmu.

Budownictwo socjalistyczne w ZSRR, jak wiadomo, nie było usiane różami. Mimo ciężkich, dramatycznych chwil w przeszłości codzienny trud narodu radzieckiego zawsze opromienia głęboka wiara w socjalizm. Twórczy wkład szarego człowieka jest trwalszy od wszelkich kultów i wypaczeń. Kto tego nie rozumie, ten nie zrozumie istoty życia radzieckiego, radzieckiego patriotyzmu, niezniszczalnej siły przyciągającej komunizmu, który jest przede wszystkim dziełem milionów. Tego czasem nie mogli ogarnąć młodzi, niezahartowani komuniści z Zachodu.

Główna przyczyna — myślę — ówczesnych rozterek, wahań, rozczarowań, jak i współczesnego załamywania się niejednego z działaczy partyjnych lub sympatyków komunizmu tkwiła w niezdolności myślenia z perspektywy historycznej, w niezdolności do całościowej oceny zarówno ciężkich konsekwencji błędów, jak i ogromu rewolucyjnych przemian, ich optymistycznego sensu decydującego w ostatecznym rachunku.

Wyizolowane od życia, od działalności narodu traktowanie błędów, wypaczeń, mitów narosłych w okresie kultu jednostki daje zniekształcony obraz Związku Radzieckiego i partii komunistycznych. Wyćwiczyły się w tym pewne pisma burżuazyjne i renegackie. A świat komunistyczny na przekór wszystkiemu kroczy naprzód i wzmacnia się. (Nie wynika z tego bynajmniej, że należy zakłajstrować wypaczenia i błędy minionego okresu. Spowodowały one ciężkie rozterki i zrodziły bolesne pytania).

Dogłębną odpowiedź na te trudne i bolesne pytania dał XX Zjazd.

Mam żywo w pamięci postawę zawiedzionych i rozczarowanych wtedy i dziś. Historia czasami przerażająco się powtarza. Niestety, błędy ojców nie zawsze chronią dzieci. Na szczęście jednak nowy świat zrodzony z Wielkiego

Października przetrzymuje najcięższe próby. O tym mówią doświadczenia z ostatnich lat.

Gwałtowna reakcja na ujawnione niezdrowe zjawiska w międzynarodowym ruchu robotniczym, zwłaszcza po XX Zjeździe KPZR, wywołała przysłowiowego „wilka z lasu”, czyli rewizjonizm. Sam wstrząs zaś, spowodowany przez XX Zjazd, był zjawiskiem uzdrawiającym międzynarodowy ruch robotniczy. Ale jak przy każdym wstrząsie wśród chwiejnych i słabych zrodziło się kapitulancтво, niewiara w socjalizm. Zdrowy nurt przemógł jednak te chorobliwe objawy.

W dużym, ponurym gmachu KUNZ-u w Pietrowierygskim zaułku (później przemianowanym na im. Dąbala) toczyły się gorące, zaciekle spory o wszystkim: o polityce i budowie kosmosu, o walce klasowej i miłości, o wizji komunizmu i o Bogu, i o tym, czy wierność małżeńska to przesąd burżuazyjny czy cnota proletariacka.

Wśród polskich kunzowców pierwszego werbunku przeważali w dziewięćdziesięciu procentach robotnicy z różnych dzielnic Polski, a przede wszystkim zagłębiacy i warszawiacy.

Prowadziłam seminarium z „Manifestu komunistycznego” z polską grupą KUNZ-u. Była to dla mnie osobiście szkoła wyrobienia partyjnego. Przeszło rok codziennie stykałam się z robotnikami-komunistami, górującymi nade mną doświadczeniem życiowym i partyjnym. Wielu słuchaczy wywodziło się jeszcze z SDKPiL, byli również uczestnicy rewolucji 1905 r. w Zagłębiu Dąbrowskim i w Warszawie. Wiek uczących się wahał się mniej więcej od dwudziestu do przeszło czterdziestu lat. Ze wzruszeniem wspominam moich uczniów z KUNZ-u. Najwięcej uczyłam się od nich sama. Żywiołowo podczas nauki nawiązywali do swej działalności rewolucyjnej, do pracy w partii. W sposób naturalny, bez nakazu rodziła się więc teorii z praktyką, z czego słuchacze nie zdawali sobie nawet sprawy. Po prostu inaczej nie potrafili uczyć się marksizmu.

Moje prowadzenie seminarium urągało zasadom pedagogiki, ale uczniowie nie mieli do mnie o to pretensji. W toku gorącej i dość chaotycznej dyskusji gubił się ku zadowoleniu wszystkich kierownik seminarium. Rozpalonych

polemiką przywoływał do porządku zwykle ktoś ze starszych towarzyszy. Płonęły nam oczy i policzki, zawsze brakowało czasu, spory przenosiły się na korytarz, do stołówki, do burs.

Każdą myśl, tezę „Manifestu” spontanicznie się aktualizowało. Przymierzano Marksa do radzieckiej rzeczywistości i wydarzeń walk klasowych w Polsce. Wizję komunizmu słuchacze uzupełniali własnymi marzeniami i własną niecierpliwością. Głosy ostrzegawcze — a były i takie — że droga do socjalizmu nie jest prosta ani łatwa, znajdowały słaby oddźwięk.

Studiowanie marksizmu było dla uczących się i dla nauczycieli już samo w sobie aktem rewolucyjnym, głębokim przeżyciem, niemal objawieniem. Żyliśmy w stanie euforii, dumni z przekształcania świata, z wielkości spełnionej dziejowej misji. Jak ów żołnierz z armii Napoleona, któremu śniła się buława marszałkowska, tak komuniści z lat dwudziestych w swych marzeniach tkwili już w światowym komunizmie.

Jeden z zapalonych młodych kunzowców powiedział kiedyś na seminarium: — Nie rozumiem, dlaczego Komintern zwleka. Ma za sobą Armie Czerwoną, cały naród radziecki, wszystkich komunistów na świecie. Można by już zapoczątkować „wyprawę krzyżową komunizmu” przeciwko kapitalizmowi. Po drodze przyłączyliby się do nas robotnicy we wszystkich krajach i zwycięstwo byłoby murowane.

Zdawało się wtedy owo zwycięstwo tak bliskie i osiągalne...

Niestety, nie pamiętam nazwisk wielu towarzyszy i nie znam ich dalszego losu. Stanowiliśmy wtedy wspólną rodzinę. Więc partyjna, zwłaszcza wśród przyjeżdżających z kraju kapitalistycznego, była prawdziwie braterska. To nie znaczy, że na KUNZ-ie nie było zgrzytów, małych i większych konfliktów. Jedne przyjaźnie upadały, inne powstawały, małżeństwa rozpadały się i zawiązywały nowe. Polityka nie przeszkadzała bogatemu życiu osobistemu.

Wybitni działacze KPP, mieszkający wówczas w Moskwie, byli w różny sposób powiązani z KUNZ-em. Jedni jako stali prelegenci, inni mieli wykłady na poszczególne tematy. Niektórzy przyjeżdżający z kraju na wezwanie Kominternu lub wprost z więzień (w ramach „akcji” panny Stefanii Sempołowskiej) też nie omijali KUNZ-u. Przychodzili

do polskiego sektoru, by opowiedzieć o ostatnich wydarzeniach w kraju. Czasami też zbierano cały KUNZ na odczyt o Polsce.

W pierwszych latach KUNZ-u na polskim sektorze wykładali: Marchlewski, Leński, Aleksander Małecki (pseudonim „Książd”), Stanisław Bobiński, Bolesław Przybyszewski, Rega Budzyńska, Kamieniecka, Plesner. Później — bracia Stanisław i Mieczysław Budzyńscy, nieco później Milecki, Witold Tomorowicz (pseudonim „Andrzej”), Eugeniusz Przybyszewski — wybitny znawca historii Polski.

Wielu z nich znałam już jako świetnych prelegentów z Kursów Pedagogicznych i Szkoły Partyjnej na Krywonikolskim. Na KUNZ-ie po raz pierwszy słyszałam Małeckiego (wykładał filozofię marksistowską). Wyróżniał się dużą erudycją, barwnością języka, ciekawymi dygresjami z dziedziny literatury, sztuki, etyki. Robił na słuchaczach niezatarte wrażenie. Słyszałam poza KUNZ-em w jednym z klubów moskiewskich niezapomniany odczyt Małeckiego o Dostojewskim. Sala była nabita. Prelegent mówił sugestywnie, nie czytał z kartki, lecz improwizował. Małecki należał do tego typu wysokiej klasy intelektualistów w KPP, którzy najbardziej się wyżywali w mówieniu, w działalności pedagogicznej. Miał impresyjny styl, a gdy był w formie, olśniewał błyskotliwością umysłu, ogromną erudycją. Najciekawszą część jego wykładów stanowiły dygresje literackie. Był też doskonałym gawędziarzem. Już w okresie KUNZ-u poważnie zapadał na zdrowiu. Bolesław Przybyszewski dał się poznać na KUNZ-ie jako doskonały wykładowca ekonomii politycznej.

Poza przyswajaniem sobie marksizmu i polityki część słuchaczy KUNZ-u nadrabiała poważne luki w swym wykształceniu podstawowym. Stąd były zajęcia z gramatyki i ortografii (Kamieniecka), z geografii gospodarczej świata (Mietek Budzyński), z fizyki i matematyki (Plesner), a później Milecki. Mieczysław Budzyński (z zawodu ślusarz) rozpoczął naukę jako samouk i stał się wybitnym specjalistą w dziedzinie geografii gospodarczej. Był inicjatorem i redaktorem Wielkiego Atlasu Świata, wydanego w ZSRR.

Ówczesne szkoły partyjne, w tej liczbie i KUNZ, były dziwną i wzruszającą mieszaniną. Przyprószonych niejednokrotnie siwizną, dorosłych ludzi uczono jak dzieci elementarnej wiedzy, a zarazem włączano im trudne do przetra-

wienia mądrości filozofii Arystotelesa, Diderota i Hegla. Bolszewikom zdawało się wówczas, że i mózg ludzki może ulec rewolucyjnym przekształceniom i dokonać rzeczy nie- możliwych — opanować tabliczkę mnożenia wraz z dia- lektyką Hegla. Na tym tle powstawały nieraz smutne i hu- morystyczne sytuacje — jedni dostawali zaburzeń nerwo- wych, innym robił się galimatias w głowie. Większość jed- nak miłowymi krokami posuwała się naprzód, gryzła gra- nit nauki — jak mówiono wówczas w Moskwie.

Podobne zjawisko mieliśmy w KUNZ-ie. Marchlewski i profesorowie z większym poczuciem realizmu mitygowali zapędy twórców kosmicznych programów. Ale wtedy prze- ważali jednak zwolennicy tzw. „rewolucyjnej” pedagogiki.